Rok II. **W Jarosławiu dnia 22 lipca 1894.** Nr. 14.

DWUTYGODNIK ORGANISTOWSKI

Pisemko poświęcone sprawom i rozrywce pp. Organistów

Redaguje

Wychodzi 8 i 22 każdego miesiąca.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje Administracya

Biuro
Redakcyi, Administracyi i Expedycyi
w drukarni Ludwika Styrny
ul. Franciszkańska, w kam. H. Czyńskiej.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.
Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Przedpłata
z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	złr. 2.40 ct.
Półrocznie	„ 1.30 „
Kwartalnie	„ —.70 „
Numer pojedynczy	„ —.15 „

Ogłoszenia drobnym drukiem po 6 ct. za wiersz.

„Laudate Dominum in tympano et choro: Laudate eum in chordis et organo“ (Ps. 150.)

Od Redakcyi!

Z dzisiejszym numerem wysyłamy Wam Koledzy w sprawie proponowanego wiecu formularz, który każdy z Was niechaj uważnie przeczyta i dokładnie wypełni, poczem nam zwróci bądź złożony w list i zaopatrzony 5 centową marką lub też można formularz wypełniony przesłać w kopercie ofrankowanej 5 ct.

Spełniamy nasz obowiązek, który wypływa z gorącego życzenia przyjścia Wam w pomoc, a to tem więcej, ile że wielu z Was pomocy tej potrzebuje.

Starając się jednak u Wysokich Władz o zezwolenie na urządzenie wiecu — musimy poprzód mieć w rękach środki po temu i pewne dane, na podstawie których moglibyśmy wykazać: że organiści galicyjscy pod względem płacy tak są upośledzeni a niektórzy tak obarczeni obowiązkami względem swych dzieci, krewnych i t. p., że jest czystem niepodobieństwem wyżyć z pobieranych pensyi (których w wielu miejscowościach w Galicyi organiści wcale nie pobierają) — że gdziekolwiek indziej organista ma bez porównania lepsze utrzymanie, wskutek czego i muzyką kościelną, służącą ku zbudowaniu wiernych, tem gorliwiej się zajmuje, czego dowodem jest znaczny ruch na polu muzycznem itp.

Propozycyi naszej w sprawie zwołania wiecu nikomu nie narzucamy — przeciwnie prosimy Was każdego z osobna aby z całą rozwagą formularz dołączony, — który stanowi jedną kartkę, łatwą do wycięcia, — dobrowolnie i sumiennie wypełnił, poczem nam zwrócił.

Nie mamy nikogo coby się zajmował naszą sprawą — pomoc tedy na razie leży wyłącznie tylko po stronie każdego z Was Koledzy — po czem zaś z naszej strony zajmiemy się gorliwie tem, aby można dolę organistów polepszyć.

Wreszcie na tem miejscu bez czynienia komukolwiek z Was wyrzutów, oświadczamy otwarcie, że wielu zalega jeszcze z przedpłatą — w skutek czego w rachunkach naszych ostatniemi dniami okazał się niedobór. Nie zrażamy się tem, bo wiemy, że wielu z Was Szan. Koledzy, nie czyni tego umyślnie — lecz z braku funduszów. Podnosimy jednak tę okoliczność dlatego, aby wydawnictwo nie znalazło się w przykrem położeniu.

BEN HUR.

Opowieść z czasów Chrystusa przez Lew Wallase.

Tłumaczyła z angielskiego Zofia Grabowska.

(Ciąg dalszy.)

Na prawo i na lewo ulicy stały pałace marmurowe, a pomiędzy niemi, wśród 2. długich szeregów kolumn, także z marmuru, ciągnęły się drogi, osobne dla pieszych, wozów i bydła. W ulicy tej panował rozkoszny chłód, gdyż pokryta była dachem i co kilka kroków były wodotryski.

Ben-Hur zamyślony o historyi Simonidesa, nie rozglądał się. Doszedłszy do Omfalusa, olbrzymiego pomnika, złożonego z 4. łuków, który wystawił sobie Epifanes, ostatni z Seleucydów,— zmienił on nagle zamiar.

— Nie pójdę dziś do cytadeli, — rzekł do tragarzy. — zaprowadźcie mię do jakiego „khanu", — do tego, co stoi przy moście, na drodze do Seleucji.

Niebawem zaszedł Juda do skromnej lecz obszernej gospody w pobliżu mostu, pod którym mieszkał Simonides. Całą noc przeleżał on na dachu „khanu".

Opanowany radością, powtarzał sobie: Teraz, teraz, — usłyszę co nakoniec o najdroższych istotach, — o matce ukochanej i o małej Tirzie. Jeżeli żyją, niebo i ziemię poruszę, żeby je znaleźć.

Rozdział XIV.

Nazajutrz, nie zaglądając wcale do miasta, wybrał się Ben-Hur na poszukiwanie domu Simonidesa.

Byłto ciężki stary gmach. Dwoje ogromnych drzwi z przodu prowadziło do szeregu legarów. Zakratowane otwory pod samym dachem, służyły za okna. Ze szczelin wyglądały chwasty i miejscami kępka mchu porastała nagie zresztą kamienie.

Drzwi były otwarte: jednemi wnoszono towary, drugiemi wynoszono. Wszędzie kipiało życie, wszędzie był gorączkowy ruch.

Pośród pak, leżących stosami przed domem, krzątali się niewolnicy. Pod mostem stała na kotwicy cała flota okrętów, na których powiewały żółte chorągiewki. Na przeciwnym końcu mostu wyłaniał się ze zwierciadła wód gmach który wieżyczkami i balustradami uwieńczony, ciągnął się wzdłuż całej prawie wyspy, opisanej przez nieznajomego. Ben-Hur mało zwracał na nią jednak uwagi. Spodziewał on się dowiedzieć nakoniec czego o rodzinie swojej, w razie, jeżeli Simonides rzeczywiście był niewolnikiem jego ojca. Ale czy się przyzna do tego? Znaczyłoby to zrzec się bogactw oraz świetnej karjery i co pociągnęłoby ważniejsze jeszcze następstwa, wśród niesłychanego powodzenia wypadłoby mu zaprzestać interesów i dobrowolnie zostać na nowo niewolnikiem. Sama myśl o podobnem żądaniu wydawała mu się szaleństwem, zuchwalstwem. Mógłże mu powiedzieć: Jesteś moim niewolnikiem... oddaj mi wszystko co masz — i siebie samego.

Jednakże Ben-Hur czerpał otuchę w wierze w prawa swoje i silnej nadziei, co się ocknęła w głębi jego serca. Jeżeli opowiedziana mu historya była prawdziwą, to Simonides należy do niego wraz ze wszystkiem co posiada. Trzeba przyznać, że o fortunę dbał mało. Wszedł we drzwi z tem postanowieniem, że byle mu Simonides powiedział co o matce i Tirzie, obdarzy go wolnością, nie żądając zdania rachunków.

Śmiało dostał się do wnętrza domu.

Zobaczył wielkie składy towarów przeróżnych. Wśród mroku i zaduchu, ludzie żwawo się krzątali jedni szeregami ustawiali paki; drudzy, uzbrojeni w siekiery i młoty, zabijali skrzynie, mające popłynąć okrętem. Torując sobie zwolna drogę pośród stosu kufrów, rozmyślał nad tem, czy człowiek, mający takie bogactwa, mógł być niewolnikiem jego ojca? Jeśli był niewolnikiem do jakiej klasy należał? Jeśli to żyd, czy jest synem niewolnika, czy też dłużnikiem, albo synem dłużnika. A może to złodziej, sprzedany za popełnioną kradzież? Myśli te, przesuwające mu się po głowie, bynajmniej nie zmniejszały w nim poszanowania dla bogatego kupca; owszem wzmagało się ono z każdą chwilą.

Nakoniec zapytał go jeden z robotników.

— Czego żądasz?

— Chciałbym się zobaczyć z kupcem Simonidesem.

— Chodź tędy.

Krętemi ścieżkami, pośród pak, dostali się do wschodów, które ich zawiodły na dach składu. Na dachu tym stał drugi mniejszy domek, kamienny, niewidzialny z dołu, zwrócony od zachodniej strony mostu. Dach owego domku, otoczony niskim murem, wyglądał jak taras i, ku wielkiemu zdziwieniu Judy, pokryty był kwiatami. Ten dom, w tak świetnem otoczeniu, był to czworobok z szarego kamienia, u którego drzwi od frontu stanowiły jedyny otwór.

Starannie utrzymywana ścieżka prowadziła do drzwi, pośród krzaków kwitnących róż perskich. Juda szedł za swym przewodnikiem, napawając się zapachem kwiatów.

W końcu ciemnego korytarza zatrzymali się przed uchyloną zasłoną i przewodnik rzekł:

— Jakiś nieznajomy pragnie widzieć się z naszym panem.

— W imię Boże, niechaj wejdzie, odpowiedział wdzięczny głos.

Pokój do którego wprowadzono gościa, byłby przez Rzymianina nazywany atrium. Urządzenie jego wskazywało na bogactwo właściciela, ale księgi i stosy rachunków, leżące pod ścianami, świadczyły, że bogacz i w tym zakątku trudnił się handlem. Po-

dłoga wysłana była grubym szarym kobiercem, który przytłumiał odgłos kroków.

Na środku pokoju znajdowały się dwie osoby: na fotelu o wysokich poręczach, wysłanych poduszkami, siedział mężczyzna, a po lewej jego stronie, oparta o fotel, stała młoda dziewczka. Na widok tych dwojga Ben-Hurowi uderzyła krew do głowy. Skłonił się nizko, nietylko przez szacunek, ale i dla ukrycia wrażenia. Gdy ochłonął i podniósł oczy, spotkał się z badawczem spojrzeniem starca i dziewczęcia.

— Jeśli jesteś kupcem, Simonidesem i żydem, to niechaj pokój Boga naszego ojca Abrahama towarzyszy tobie i blizkim twoim.

Ostatnie słowa zwrócone były do dziewczęcia.

— Jestem tym Simonidesem, o którym mówisz, z urodzenia żydem,— odrzekł starzec dziwnie miłym głosem. Ja, żyd Simonides, odpowiadam na twe powitanie zapytaniem,—co cię, o gościu sprowadziło w moje nizkie progi.

Ben-Hur przyglądał się mówiącemu. W zagłębieniach poduszek leżała bezkształtna masa w ciemnej jedwabnej sukni. Nad tą zmiażdżoną masą ciała wznosiła się królewska głowa, idealna głowa męża stanu i zdobywcy — głowa, z którejby Angelo, wziął był model na Cezara. Srebrzyste włosy spadały na białe brwi, przyczem jeszcze czerwieńszemi zdawały się oczy, co ciskały błyskawice. Twarz była blada, pomarszczona, zwłaszcza dokoła ust. Słowem, z głowy i twarzy łatwo było wyczytać, że człowiek ten raczejby cały świat nagiął do swej woli, aniżeliby mu sam uległ; że gdyby go jeszcze 10 razy wzięto na tortury, nie wydałby jęku, nie zrobiłby żadnego zeznania; że wolałby życie złożyć w ofierze niż odstąpić od powziętego zamiaru, że jedynie miłość zdołałaby go przemódz.

— Jam jest Juda, syn Itamara, z domu Hurów, — rzekł młodzieniec, wyciągając ręce do sędziwego izraelity.

Kupiec zacisnął konwulsyjnie prawą rękę długą, chudą rękę, świadczącą o przebytych mękach. Byłto jedyny znak życia z jego strony. Nie zdradzając żadnego wrażenia, odrzekł on tylko spokojnie:

— Książęta Jerozolimy, szlachetnej krwi, są zawsze pożądanemi w moim domu; witam cię więc, o gościu, Estero, podaj krzesło temu młodzieńcowi.

Dzieweczka wzięła krzesło stojące nieopodal i zaniosła je Ben-Hurowi. Gdy je stawiała przed młodzieńcem, spotkały się ich wejrzenia.

— Pokój Pana niechaj będzie z tobą, — rzekła skromnie. — Usiądź i odpocznij.

— Ben-Hur, nie przyjmując krzesła, rzekł grzecznie: proszę czcigodnego Simonidesa, żeby mię nie brał za natręta. Mówiono mi wczoraj na statku, żeś znał mego ojca więc przychodzę.

— Znałem Księcia Hura. Prowadziliśmy razem różne interesa, jako kupcy, szukający zarobku za morzami i pustynią. Ale usiądź, proszę cię,— a ty Estero, przynieś wina gościowi. Nehemiasz wspomina o synu Hura, który niegdyś panował nad połową Jerozolimy. Starożytny to ród, bardzo starożytny. Za czasów Mojżesza i Jozuego niejeden z nich znalazł nawet łaskę przed Panem i dzielił zaszczyty z tymi wybrańcami bożymi. Wszak ich potomek nie odmówi wina z jagód Soreku, które rosły na południowych stokach Hebronu.

Właśnie gdy skończył mówić, Estera stanęła przed nim ze srebrnym kubkiem, do którego nalała wina z naczynia stojącego na stole, nieopodal krzesła. Podała mu napój ze spuszczonemi oczyma. Juda dotknął z lekka jej ręki, odsuwając kubek. Oczy ich znowu się spotkały. Zauważył on teraz, że jest tak mała, iż mu dochodzi zaledwie do ramion, ale bardzo zgrabna, ładna i że ma oczy czarne z niezmiernie łagodnym wyrazem. Dobra i piękna, — pomyślał, — gdyby Tirza żyła, takby wyglądała. Biedna Tirza!

Potem rzekł głośno:

— Nie twój ojciec — ale czy to twój ojciec?...

— Jestem Estera, córka Simonidesa,—odrzekła z godnością.

— A więc, piękna Estero, — gdy ojciec twój usłyszy to, co mam mu powiedzieć, z pewnością nie weźmie mi za złe, że nie chcę skosztować tego wyborowego wina; mam nadzieję, że i w twoich oczach nie stracę przez to łaski. Stań tu przy mnie na chwilę!

Oboje zwrócili się ku Simonidesowi, jak gdyby ich łączyła wspólność jakaś.

— Simonidesie,—rzekł Juda uroczystym głosem, ojciec mój, umierając, miał wiernego sługę twego imienia i powiedziano mi, że tym człowiekiem jesteś ty!

Kaleka zadrżał, zacisnął wychudłą rękę i zawołał surowo: Estero! Stań tu, przy mnie! Twoje miejsce jest tu, nie tam, boś córka moja i żony mojej.

Dzieweczka spojrzała na ojca, potem na gościa, zawahała się na chwilę, postawiła kubek na stole i posłusznie zbliżyła się do krzesła rodzica. Twarzyczka jej wyrażała zadziwienie i przestrach.

Simonides podniósł lewą rękę, ujął nią dłoń córki opartą na jego ramieniu i rzekł ze spokojem: Zestarzałem, się w obcowaniu z ludźmi, a zestarzałem się przedwcześnie. Jeśli ten, o którym wspomniałeś, był przyjacielem znającym dzieje mego życia i bez uprzedzenia mię sądził, to musiał ci powiedzieć, żem bardzo podejrzliwy. Mało mam osób drogich sercu, jedną z nich jest... (tu przycisnął do ust rękę, spoczywającą na jego ramieniu), jedną z nich jest ta, która dotąd żyła dla mnie wyłącznie i taką jest osłodą w mojej niedoli, że gdyby mi jej zabrakło nie przeżyłbym tego ciosu.

Estery głowa spadała coraz niżej, tak że dotknęła jego twarzy policzkiem.

Druga miłość moja jest wspomnieniem. Tyle tylko mogę powiedzieć o niej że, jak błogosławieństwo Pana obejmuje całą rodzinę. Ach, gdybym — tu głos mu zadrżał,— gdybym mógł wiedzieć gdzie się one znajdują.

Ben-Hur do głębi duszy wzruszony zbliżył się o krok do starca i zawołał gwałtownie:

— Matka moja! siostra! ach wszakże o nich mówisz!

Estera podniosła nań oczy, jak gdyby do niej zwracał mowę: ale Simonides uspokoił się już i odrzekł bardzo zimno:

— Wysłuchaj mię do końca.

Właśnie dla tego, że niełatwo dowierzam ludziom i w imię miłości, o której wspomniałem, zanim ci powiem, jakie stosunki łączyły mię z księ-

ciem Hurem, — zapytam, czem stwierdzisz swoje pochodzenie. Czy masz dowody piśmienne, albo świadków naocznych?

Pytanie to było bardzo proste i Simonides miał niezaprzeczone prawo je zadać, jednakże Ben-Hur zaczerwienił się, załamał ręce, wybełkotał coś niewyraźnie i odwrócił się zmięszany. Simonides nalegał.

Dowodów. Dowodów! Pokaż mi je! Daj mi je w ręce!

Ben-Hur nie odpowiadał. Nie był przygotowany na takie żądanie. Teraz, dopiero kiedy je usłyszał, zrozumiał, że przez całe trzy lata, gdy spędził na galerze, zaginął o nim wszelki ślad. Ponieważ matka jego i siostra znikły, żywa dusza o nim nie pamięta.

Na teraźniejszych znajomych nie mógł liczyć, chociaż było ich wielu. Gdyby nawet Kwintus Arrjusz był obecny, nie mógłby nic powiedzieć prócz tego, gdzie go napotkał i że mu wierzy, iż jest synem Hura. Ale, jak się okazało niebawem, waleczny Rzymianin już nie żył. Juda uczuł się tak osieroconym, jak jeszcze nigdy. Stał z załamanemi rękami, z twarzą odwróconą, jak skamieniały. Simonides, szanując jego cierpienie, czekał w milczeniu.

— Mistrzu Simonidesie, — rzekł nakoniec, — mogę ci tylko opowiedzieć moją historję, ale i tego nie uczynię, jeśli się nie wstrzymasz z sądem, dopóki nie raczysz wysłuchać.

— Mów, — powiedział Simonides który był w tej chwili zupełnym panem położenia. — Wysłucham cię tem chętniej, żem ci nie zaprzeczył, żeś ten, za kogo się podajesz.

Ben-Hur opowiedział wtedy swe życie, pobieżnie tylko ale z uczuciem, które jest źródłem wszelkiej wymowy. Ponieważ znamy dzieje tego życia do chwili, kiedy Juda wylądował, z Arrjuszem w Mizenum, po zwycięzkiej wyprawie na morze Egejskie, zaczniemy je od tego punktu.

— Mój dobroczyńca cieszył się łaską i zaufaniem cezara, który wynagrodził go za zasługi dostojeństwami

Kupcy wschodni obdarzyli go tak sowicie, że stał się dwa razy bogatszym od największych bogaczy rzymskich. Czy żyd może zapomnieć o swojej religji, lub o swym kraju rodzinnym, jeśli tym krajem jest święta ziemia ojców naszych. Zacny ten człowiek przybrał mię według wszelkich formalności za syna. Ja także starałem się mu odwdzięczyć. Rodzony syn nie mógłby uleglszym być względem ojca. Arrjusz chciał zrobić ze mnie uczonego: chciał mi dać najlepszych mistrzów w sztuce, filozofii, retoryce. Oparłem się jego naleganiom, gdyż jako żyd nie mogłem zapomnieć ani Boga Pana naszego, ani chwały Jego proroków, ani też miasta, założonego na pagórkach przez Dawida i Salomona.

Zapytasz, dlaczego przyjmowałem dobrodziejstwa od Rzymianina? Jam go kochał. Prócz tego miałem nadzieję spożytkować jego wpływy dla wyświetlenia tajemnicy, pokrywającej losy mojej matki i siostry. Miałem jeszcze inny powód! — o którym tyle tylko powiem, że mię zniewolił do uczenia się sztuki wojennej. Ćwiczyłem się w arenach cyrkowych zarówno jak i w obozach. Wszędzie wsławiałem swe imię, ale to, którem nosił, nie było imieniem mego ojca. Wszystkie zwycięzkie wawrzyny a niemało ich zdobi ściany atrium w mojej willi w Mizenum — wywalczyłem jako syn Duumwira Arrjusza. Tylko jako taki znany jestem Rzymianom.... Dążąc wciąż do mego skrytego celu, opuściłem Rzym i przybyłem do Antjochji, żeby towarzyszyć konsulowi Macentiusowi w wyprawie na Partów. Teraz kiedy już umiem władać bronią, chcę przyswoić sobie wyższą sztukę kierowania korpusami wojska na polu bitwy. Konsul przyjął mię do swego najbliższego otoczenia. Ale wczoraj, gdy nasz okręt wpłynął do Orontesu, spotkaliśmy dwa inne okręty z żółtemi chorągiewkami i jeden z podróżnych, ziomek z Cypresu objaśnił nas, że właścicielem tych okrętów jest Simonides, najbogatszy kupiec w Antjochji. Opowiadał też o niebywałem powodzeniu jego w handlu, o jego flotach i karawanach, i nie wiedząc, że mię to interesuje więcej niż innych pasażerów, dodał, że Simonides jest żydem i że był niegdyś sługą Księcia Hura. Wspominał także o okrucieństwach Gratusa i jego przyczynach.

C. d. n.

Korespondencye z prowincyj.

Rok już niemal dobiega swego kresu od czasu istnienia naszej gazetki. Dziwić się jednak należy, że w w tak młodziuchnem pisemku naszem można znaleźć tak prześliczne artykuły jak n. p. O stowarzyszeniu wzajemnej pomocy, które jest jedynym celem naszej przyszłości, o organistach artystach, których historya czci i przechowuje jak n. p. o Palestrynie, Moniuszce, Bachu, Mozarcie i wielu innych — jakoteż powieści — sprawy polityczne i nareszcie listy z prowincyi czyli wymiany zdań pp. Organistów i różne zapatrywania się w sprawach omawiających polepszenie bytu materyalnego i moralnego.

Nad tym ostatnim artykułem postanowiliśmy i my głębiej się zastanowić. Bo że byt nasz materyalny jest na bardzo niskim stopniu, wiedzą o tem wszyscy; i dziwna rzecz, że pomimo wielu zdrowych oczu, nikt tego nie chce widzieć. Dziwny skład rzeczy, gdyż nie wiemy, kogo właściwie uważać za chlebodawców naszych? Każdy kto się nad tem zastanowi, odpowie ze spokojnem sumieniem: „nikogo". Służbodawcy bowiem — chcieliby nam pomódz i mają szczere chęci, które zwykle spełzają na niczem. Parafianie znowu, uważają każdy datek ze swej strony za łaskę — i tym argumentem powodują się; dadzą co dobrze — a nie, to i tak jest; upomnieć się nie można, bo spytają się zaraz: gdzież to prawo, żeby organiście dawać? Ubolewać nam z kolei wypada nad tymi ludźmi, którym sumienie nie

Do

Szanownej Administracyi

„Dwutygodnika organistowskiego“

w Jarosławiu.

P. T.

W myśl odezwy naszego „Dwutygodnika organistowskiego“ zmierzającego do ustalenia płac i w ogóle do podniesienia stanowiska organistów galicyjskich, a tem samem do rozbudzenia zamiłowania do muzyki i śpiewu kościelnego na chwałę Bożą i na pożytek pobożnych, popieram rzeczoną przez „Dwutygodnik organistowski“ myśl zwołania ogólnego wiecu organistów galicyjskich, na który równocześnie przeznaczam dobrowolnie zlr. ct., podając poniżej bliższe szczegóły co do mego stanowiska i uzdolnienia, i t. p.

Nr. porz.

Nazywam się:

Jestem organistą w ost. poczta

Godność tę piastuję od r.

Od pierwszej chwili mego zawodu byłem. lat w

w lat, w

lat. w

W obecnem miejscu w pobieram od Przewiel. X. Proboszcza stałej pensyi co 1-go każdego miesiąca

Dochód z opłatków wynosi co roku przeciętnie: złr. ct.

ze spisnego wynosi przeciętnie: złr. ct.

poboczny z pogrzebów, mszy św., i t. p. złr. ct.

Cała parafia liczy dusz

Należą do niej miejscowości:

Za policzoną jak wyżej pensyę muszę pełnić następujące obowiązki:

Co do mego uzdolnienia posiadam świadectwo od.

Co do stosunków osobistych nadmieniam, że: jestem kawalerem;

utrzymuję żonę wraz z dzieci; z których najstarsze ma lat naj-młodsze ; z tych uczęszcza do szkoły

Nadto w poczuciu obowiązków względem Rodziców i Krewnych utrzymuję przy sobie

P. T. kawalerowie zechcą niepotrzebne przekreślić.

Ponieważ zachodzi wątpliwość, czy w razie zwołania wiecu, będę mógł osobiście w nim wziąć udział bądź to dla braku czasu, bądź dla braku środków, bądź też innych nieprzewidzianych przeszkód, tedy na wypadek mej nieobecności na wiecu popieram dobrowolnie te wszystkie wnioski, na które się zgodzi większa część obecnych Kolegów.

Własnoręczny podpis:

Punkta niepotrzebne należy przekreślić, inne zaś szczegóły ile możności jak najdokładniej w liniach drukowych wypełnić.

nakazuje, że pomimo braku prawa państwowego — człowiekowi pełniącemu obowiązki publiczne w kościele, muszącemu usłużyć każdemu katolikowi, pewne wynagrodzenie się należy. Lecz jak wiemy, smutno to bardzo, że w XIX. wieku pomimo postępu cywilizacyi, prawo sumienia upada. A jeżeli to ostatnie — prócz tego chęć uchylenia się od wszystkich nawet paragrafami zaznaczonych datków jest prawie powszednią rzeczą w teraźniejszym świecie — czy nie jest koniecznem ustanowienie pewnych reguł, ustaw, któremi możnaby się było powodować? Wszak we wszystkich warstwach społeczeństwa są namacalne (że tak powiem) prawa; każdy się więc może w imieniu tychże upomnieć o swoje. W tym tylko zawodzie widzimy braki wielkie pod tym względem. Dlatego też wszyscy śpiewamy — a głosy te zlewają się w jednę harmonię na temat: „Panem nostrum". Wszak samem słowem Bożem żyć fizycznie nie można — a to życie jest tak ważną rzeczą wiedząc, że w zdrowym ciele mieszka zdrowa dusza"! Jeść zapomnieć nie można, a chociaż zachowywanie postów jest zbawienną rzeczą, to z drugiej strony nie przynosi ono żadnej korzyści, jeżeli je wykonujemy nadmiernie, a nie dobrowolnie, lecz z konieczności. Skąd my słudzy Kościoła przychodzimy do takich niedostatków? Stanowisko nasze ustanowione jest przez Pana Boga, Który jeszcze w starym zakonie przeznaczył jedno wyłącznie pokolenie t. z. Lewi na usługi kościoła. Dał Bóg niejako przywilej temu pokoleniu; kto inny nie mógł pełnić tych obowiązków.

I teraz wie o tem wiele myślących ludzi, z których jednego zdanie pozwolimy sobie przytoczyć: „Organiści"—powiedział ks. Solecki —„pełnią służbę Aniołów"! Przykro nam więc bardzo, że nie wszyscy chcą ocenić wartość i doniosłość tego zawodu.

Musimy tu jednak zaznaczyć jednę okoliczność. Przyczyną naszego ujemnego bytu moralnego są po części sami pp. Organiści. Każdy człowiek jest sprawcą swego losu" mówią starzy — mamy też przysłowie: „z jakim przystajesz takim się stajesz", które możemy tu zastosować. Wielu z nas przystajemy z nie koniecznie tolerowanymi osobami, przeto nasza powaga jest podkopana. Jakże mają nas inni szanować jeżeli my sami nie szanujemy się? Odzywam się tu do tych wszystkich pp. Kolegów, którzy po przeczytaniu tego argumentu uczują wyrzut sumienia. Takich wielu jest. O ogóle powiedzieć tego nie mogę — zgrzeszyłbym ciężko. Jest wielu między nami zacnych ludzi, nawet bardzo wykształconych umysłowo i praktycznie; ci więc są otoczeni szacunkiem od przełożonych, parafian etc.

Z bolem serca jednak każdy mi to przyzna, że wiele psują ci małej wiary, którzy opuściwszy uszy, myślą, że inaczej być nie może. Odwagi! i jeszcze raz odwagi! nie zapominać się, bo każda jednostka wpływa na ogół.

Jeden z naszych pp. Kolegów upomina się o prawa obywatelskie. To uważamy za myłkę. Czy my nie jesteśmy obywatelami? Podatki płacimy, żołnierzy dajemy, prawa państwowe wykonujemy jak inni, pomimo, że sami jesteśmy bez praw jak wyżej powiedzieliśmy, w ogóle rząd z nami postępuje tak, jak z każdym innym nie organistą. A iluż to z naszego zawodu dajemy ludzi zajmujących wysokie stanowisko w kraju n. p. księży, urzędników wyższej rangi, etc! To tylko dziwi nas bardzo, że ci wszyscy zapominają tak prędko swojego pochodzenia a nawet czasem wstydzą się go. Ile niedostatku cierpieli oni, nim zdobyli te stanowiska! Czemu teraz nie przypomną sobie na te ciężkie dni szkolne? Nieraz trzeba było z braku funduszu odbyć per pedes Apostololorum parę mil, a przyszedłszy do kąta swego gdzieś w jakiej uliczce przy łojówce, często przy ściślejszym poście kuć grekę lub co innego. W tedy pewnie mieli mocne postanowienie dobiwszy się do stanowiska, starać się o polepszenie bytu ojców swoich. A teraz zapomniał niejeden czem jego ojciec był, lub jest — zapomniał ile to pracy i trudów kosztowało biednego ojca, który mu pomagał z myślą: „Wspomogę dziecko moje według sił moich, aby mu lepiej było niż mnie; za to on później nie zapomni o poprawie ciężkiej doli naszej." A tymczasem ojciec taki pomylił się bardzo, gdyż dotąd nikt z nich nie znalazł się ktoby o tem pomyślał.

Odzywamy się więc i prosimy Was wszystkich tych wyżej wymienionych, których powinna obchodzić ta sprawa. Przyczyńcie się choć w części do polepszenia naszego bytu! Was nie wiele pracy będzie to kosztowało a nam wiele pomożecie. Nie bądźcie obcy cierpieniom ojców Waszych, ich popioły proszą Was także o to.

Pamiętajcie, co Chrystus Pan powiedział: „Coście uczynili jednemu z tych małych, mnieście uczynili" Zapłata więc niechybna, o innej nikt marzyć nie może.

Mamy przecież nadzieję, że ci wszyscy mogący nam pomódz nie omieszkają przychylić się do naszej prośby. My znowu z naszej strony nie zaśpiemy tej sprawy. A gdy siły będą złączone naprawi się złe, które nam tak dokuczało i dokucza!

Franciszek Pelic
organista.

W Zaczerniu, d. 18 lipca 1894.

Przegląd polityczny.

Wspaniałomyślność cesarza niemieckiego. W wilię pogrzebu Carnota, prezydenta Francyi, kazał cesarz niemiecki wypuścić z więzienia dwóch francuskich oficerów, uwięzionych za to, że jako szpiedzy francuscy zdejmowali plany z twierdz niemieckich. Czyn ten cesarski bardzo się podobał wszystkim Francuzom, a gazety francuskie unoszą się nad wspaniałomyślnością cesarza Wilhelma. Ponieważ Francya i Niemcy od czasu ostatniej wojny (w r. 1870) ciągle dotąd żyły w nieprzyjaźni więc po tym wypadku jest nadzieja, że nastąpi zbliżenie się tych dwóch narodów do siebie, a to może utrwali pokój w Europie.

•

Nowy zamach. Nowy prezydent Francyi, Kasimir-Perier, miał na drugi dzień po swym wyborze, t j. 28. czerwca jechać koleją z Wersalu (przedmieścia paryskiego) do Paryża. Ponieważ zaś na kolei zebrało się dużo ludzi podejrzanych, więc prezydent zmie-

nił plan i postanowił nie jechać koleją, ale powozem. Gdy miano powóz zaprzęgać, znaleziono pod nim bombę z dynamitem, podłożoną przez anarchistów, a podłożoną w celu zabicia Periera. Na trzeci zaś dzień pojawiły się po ulicach plakaty z pogróżką, że jeżeli Perier nie ułaskawi mordercy, który zabił Carnota, to i Periera zamordują anarchiści.

Rozmaitości.

Dalsze dobrowolne składki na wiec przysłali pp. Józef Kicia w Płokach p. Trzebinia, 1 złr. Jan Tralka org. z Frysztaka 1 zł., Sędziak org. z Szymbarku p. Gorlice 1 złr., Wojciech Pach, org. w Kościelcu szlązkiem, p. Chrzanów, 1 zł. Jakób Kochmański, org. w Grębowie 1zł. Józef Krupiński, org. Czukiew p. Sambor 1 złr. Mikołaj Ruń kapelmistrz w Śniatynie 60 ct. Paweł Raczyński, org., Lwów 50 ct. N. N. 20 ct. Razem wynoszą datki poprzednie z obecnymi zł. 17.75 ct.

Amerykańska śmiałość. W Ameryce jest ogromna rzeka Niagara, która w pewnem miejscu tworzy wodospad czyli spada z góry na dół z wysokości 185 stóp. Niżej zaś są ogromne wiry, których przepłynąć nie można. Ale od czego amerykańska śmiałość. Oto niedawno temu Amerykanin Graham zbudował sobie silną beczkę, zamknął się w niej z jakąś panią i kazał się rzucić do owej wiry. O milę niżej złapano beczkę i wydobyto z niej śmiałą parę mocno potłuczoną i bez przytomności, ale jeszcze przy życiu. Chodziło o to, aby pokazać światu, że dla amerykańskich zuchów nie ma nic niepodobnego pod słońcem.

Straszny wypadek. Po ulicach Lwowa idzie tramwaj, czyli kolej elektryczna. Dnia 2 lipca wpadł wóz tramwajowy na woźnego sądowego Loosa, który nie ustąpił się prędko z toru, gdy tramwaj nadjeżdżał. Biedak dostał się pod koła wagonu. które rozdarły mu żołądek i jamę brzuszną tak, że wnętrzności dostały się na wierzch i omotały się na około kół tramwaju. Loos zginął na miejscu. Aby ciało zabitego wydobyć z pod kół, musiano tramwaj podnosić windami. Woźnicę tramwajowego Jana Piwkę aresztowano zaraz, chociaż tenże zdaleka dzwonił, czyli dawał znak, że tramwaj jedzie.

Królewska korona angielska, w którą w pewnych czasach stroi się królowa angielska, kosztowała swego czasu i dziś ją szacują na jeden milion i 119 tysięcy reńskich. Korona ta waży zaledwie 19 uncyj. O złocie tu nawet nie ma mowy, cała bowiem korona zrobiona jest z samych najdroższych kamieni. Jakkolwiek wielkość tej korony jest nadzwyczaj mała, bo średnica jej wynosi 5 cali, a wysokość 7 cali, mimo to mieści się w tej koronie 605 dyamentów i 108 prawdziwych pereł.

Odpowiedzi od Redakcyi!

Szan. Koledze W. F. w Tł. p. Brzeźnica. Odebraliśmy zeszłego roku dnia 15 listopada 1 złr. 30 ct., z których 70 ct. przypadło za rok zeszły reszta zaś w kwocie 60 ct. została na rok bieżący. A ponieważ otrzymaliśmy dnia 15 lipca b. r. 1 złr. 30 ct. razem więc na całoroczną przedpłatę otrzymaliśmy 1 90 ct. Aby całoroczną przedpłatę pokryć, oczekujemy jeszcze 50 ct. Mylna zatem uwaga mieści się na przekazie, jakoby należytość była już uiszczona po dzień 15 kwietnia.

Nadesłane.

Za tę rubrykę redakcya nie odpowiada.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Ludwik Styrna. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bielsku. W drukarni Ludwika Styrny w Jarosławiu.